

Mirosław Pawliszyn

"Katolicki pomocnik towarzyski, czyli jak pojedynkować się z ateistą", S. Zatwardnicki, Warszawa 2012 : [recenzja]

Studia Redemptorystowskie nr 11, 109-114

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Mirosław Pawliszyn CSsR

S. ZATWARDNICKI, *KATOLICKI POMOCNIK
TOWARZYSKI, CZYLI JAK POJEDYNKOWAĆ SIĘ
Z ATEISTĄ*, FRONDA, WARSZAWA 2012, SS. 375
(RECENZJA)

Wydawnictwo Fronda, które na swej stronie internetowej reklamuje się jako „portal poświęcony” (pozostaje kwestią otwartą, czy samo czuje się poświęcone, czy poświęca się czemuś lub komuś), wydało książkę Sławomira Zatwardnickiego *Katolicki pomocnik towarzyski, czyli jak pojedynkować się z ateistą*. Autor, redaktor naczelny serwisu internetowego www.rodzina.org.pl, publicysta i twórca artykułów w pismach katolickich, daje czytelnikowi tekst, który prowokuje, chwilami drażni i zaskakuje, by gdzieś w ostatnich liniijkach wyjawić zasadniczą myśl, która stara się wyjaśnić rodzące się w trakcie lektury wątpliwości. Może dlatego właśnie warto sięgnąć po tę książkę, by podjąć trud intelektualnego zmierzenia się z autorem.

Od razu uderzają czytelnika okładka i sam tytuł, które zdradzają koncepcję i strategię książki. Skrzyżowane szpady nasuwają nieuchronnie skojarzenie ze starciem między dwiema stronami sporu. Co to za spór i kto w nim uczestniczy? Jeden z pojedynkujących się jest człowiekiem wierzącym, drugi ateistą. Tytuł mówi jasno, że książka ma być orężem w rękach wierzącego przeciw niewiernemu. Wolno spytać, czy przeciwnicy są sobie znani, czy książka pozwala obydwu jakoś dostrzec, wyrazić, pokazać sobie nawzajem. Zauważmy, że mniejszy problem mamy chyba z wierzącym. Owszem, może on przeżywać swoją wiarę na różne sposoby. Może się ona przejawiać poprzez pewne postawy i gesty, dotykać ze zwiększoną intensywnością różnych sfer osobowości, psychiki, rozumu, emocji. Jedno jest pewne – wierzący w coś, a raczej w Kogoś, wierzy, oddaje Mu cześć, uznaje Jego wolę i słowo. Nieco gorzej z tym drugim. Panorama ludzkiej niewiary we współczesnym świecie wydaje się niezwykle rozległa. Rodzi się ona z otwartego buntu, dotkliwych i trudnych doświadczeń, intelektualnej pewności, niezawinionej niedojrzałości, cwaniackiej przekory, dezorientacji. Przykłady można mnożyć. Tu też jedno jest pewne – panorama ta staje się coraz szersza i bardziej zróżnicowana. Trudno określić, jaki jest stopień deklarowanej niewiary, na ile jest ona objawem przekory, a na ile wyrazem niemożności pokonania samego siebie. Tego dotyczy pierwsza wątpliwość pod adresem autora. Trzeba ją wyrazić. Czy z każdym ateistą można pojedynkować się w taki

sposób, w jaki chce to czynić redaktor Zatwardnicki? Czy wobec każdego można stosować tę samą broń i taką samą taktykę? Jeżeli nie, to w którymś momencie może się okazać, że pojedynek nie tylko nie przekona kogoś do naszych racji, ale sprawi, że druga strona nie podejmie już jakiegokolwiek bronii, przestanie rozmawiać, odwróci się i odejdzie bezpowrotnie¹.

Dруга wątpliwość dotyczy samej koncepcji skrzyżowanych szpad. Stojący naprzeciw siebie zawodnicy mają zawsze jeden cel – wygrać, pokonać przeciwnika. Dzięki temu wygrany zyskuje jakąś wymierną korzyść, zaś pokonany ma dotkliwe poczucie porażki. W tak symbolizowanym sporze nie ma miejsca na porozumienie, bowiem ono w ogóle nie wchodzi w grę, nie ma go w strukturze pojedynku. I tutaj właśnie tkwi problem. Wiąże się on z osobą wierzącego. Jak dowiadujemy się z tekstu, jest to ktoś deklarujący się jako zwolennik Boga-Miłości, który wypowiedział tę miłość w swoim Synu. To zobowiązuje, można powiedzieć: „mimo wszystko”. Czy szpada jest dobrym narzędziem w dialogu? Czy daje szansę na porozumienie? Wprawdzie walczący po stoczonym pojedynku podają sobie dłonie, ale jest to raczej wyraz wzajemnego uznania, należnego szacunku bądź podkreślenia pozycji wygranego i przegranego. Nic więcej. Tymczasem wierzący, zobowiązany do nawracania, nie osiągnie tego bez wyciągniętej dłoni, porzucenia symbolicznej szpady.

Książka podzielona jest na trzy zasadnicze części: *Bóg, Kościół, Religia*, a każdy z tematów składający się na rozdział zaopatrzony w stosowne tagi oraz odnośniki do literatury przedmiotu. Stanowi to cenne uzupełnienie całości. Zainteresowany czytelnik znajdzie tu ciekawe i często kontrowersyjnie brzmiące tematy. Wymieńmy kilka: *Człowiek wymyśla Boga; Jezus? To przecież postać mitologiczna; Zmartwychwstanie to oszustwo; To Bóg stworzył diabła; Nudne niebo? Raczej nudny kaznodzieja; Nie taka nieomyślność papieska straszna; Kościół przeciw nauce; In vitro – Kościół przeciw szczęściu; Biblia nie jest bezbłędna. I jest nienaukowa; Postmodernizm, polityczna poprawność*. Każdy z rozdziałów ma podobny schemat. Pierwsze linijki to nawiązanie do pewnej sytuacji, zdarzenia mającego być wstępem do dalszych. Należy podkreślić, że autor wykazuje tu dużą błyskotliwość i swobodę, a jednocześnie intelektualną konsekwencję. Wstęp jest ściśle związany z głównym tekstem, skłania do dalszej lektury, budzi zainteresowanie. Część zasadnicza to próby ważenia racji, ścieranie się argumentów. Wreszcie zakończenie – ma konsekwentnie pokazać racje wierzącego. Każdy, kto zdecyduje się sięgnąć po omawianą pozycję, powinien podjąć trud namysłu, czy zawsze wnioski wynikają bezpośrednio z tekstu. Na ile są one uprawnione, a na ile stają się efektem przyjętej wcześniej strategii? Z jednej stro-

¹ Uwaga ta jest nie tyle zarzutem pod adresem autora, ile może bardziej prowokacją do tego, by cyklowych pojedynków kontynuować, uwzględniając jednak, że po drugiej stronie może stać wielu różniących się od siebie sparring-partnerów.

ny, jest to zachęta do tego, by ewentualny czytelnik podjął wysiłek intelektualnej przygody, z drugiej, kolejna wątpliwość pod adresem autora. Wskażmy trzy przykłady, każdy z innego rozdziału.

Kwestia tzw. dowodów na istnienie Boga od wieków inspirowała ludzi myślących. Również i tutaj znajdujemy ten wątek. Problem został ukazany w kontekście biologicznym. Jednym z klasycznych okazów w laboratorium są wnętrzności żaby zanurzone w formalinie. Pytanie: czy tym, którzy je badają, chodzi o to, by faktycznie zobaczyć to, co ukazuje się ich oczom, czy też chcą poczuć „dreszczyk emocji” (s. 13) związany z tym, że ktoś musiał uśmiercić żabę i uczynić ją obiektem do oglądania. Poprzez tę, przynajmniej, dość odległą analogię Zatwardnicki chce ukazać, że w pytaniu o istnienie Boga chodzi albo o to, by faktycznie dociękać problemu, albo też o emocje związane z prowadzonym wnioskowaniem². Dalej pojawia się istotna uwaga o charakterze metodologicznym. Należy rozróżnić porządek wiary i porządek rozumu, co prowadzi nas do konstatacji, że tak jak rozum nie zrodzi z siebie wiary, tak wiara domaga się uzasadnienia, bowiem „ślepa” może sprowadzić na manowce. Dowody zatem to raczej argumenty, lub *preambula fidei*, same w sobie niemożliwe do przeprowadzenia. Dotyczy to zarówno prób udowodnienia istnienia Boga, jak i wykazania, że On nie istnieje. Jako wzór przywołane zostają dwa przykłady: droga z ruchu św. Tomasza oraz zakład Pascala.

Autor książki zadaje pytanie: komu potrzebne są te dowody? Z pewnością samym wierzącym, bowiem pożądanym jest, by próbowali oni racjonalizować swoją wiarę. Na nic zdadzą się one tym, którzy z wiarą nie mają nic wspólnego – niczego w ich nastawieniu nie zmieniają. Jest jednak jeszcze jedna grupa, której mogą się okazać przydatne: to ci odczuwający „dreszczyk emocji” – być może zostaną pobudzeni do głębszej refleksji.

Istotna jest uwaga końcowa. Dowodzenie istnienia Boga „przypomina trochę eksperyment z żabimi wnętrznościami pod mikroskopem. Tak jakby Boże łapki dały się rozcapierzyć, a Bóg wypatroszyć jak żaba” (s. 17). Bóg nie chce epatować naukowca w laboratorium, ale człowieka – objawiając mu prawdę o swej miłości, a „zrozumieniu tego towarzyszy dreszczyk znacznie większy” (s. 18).

Przytoczony fragment dotyka ważnej kwestii. Jednak nawiązując do początkowych uwag, trudno nie odnieść wrażenia, że niewierzący raczej nie zostanie nim poruszony. Wątpię, czy podejmie „szpadę”. Wydaje się, że czyniąc refleksję nad dowodami, trzeba zauważyć pewien ukryty w nich sens. Może chodzi w nich nie tyle o to, by pokazać samą czynność dowodzenia, ile ra-

² Pamiętam mojego wybitnego śp. profesora Jerzego Perzanowskiego, który podczas zajęć z ontologii przeżywał niezwykle emocje, rozpisując nam na tablicy swój logiczny wzór na istnienie Boga.

czej o ujawnienie tkwiącego w założeniach pytania o sens świata i człowieka, próbę uniesprzecznienia rzeczywistości, zapytania o początek i koniec losu. Być może tu właśnie otwiera się zasadnicze pole nie tyle do pojedynku, ile do twórczej dyskusji?

Rozdział dotyczący Kościoła zawiera *passus* zatytułowany *Wierzący niepraktykujący*. Tak jak w każdym przypadku, otwiera go scenka z życia. Rysunek przedstawia kogoś trzymającego w ręce plan świątyni. Zaznaczone są na nim wyjścia ewakuacyjne, a pod nimi podpis: „Witaj w kościele! Możesz opuścić to miejsce każdymi z zaznaczonych drzwi, jeśli nie zgadzasz się z którąkolwiek z naszych nauk” (s. 164). Autor książki trafnie zauważa, że „przecież równie dobrze te wyjścia mogą służyć wejściu” (s. 164), zatem możemy odebrać całość dalszych analiz jako zaproszenie skierowane do wierzącego niepraktykującego. Jego postawa domaga się dookreślenia. Ktoś taki wprawdzie identyfikuje się z wiarą, ale stara się zachować dystans czy rezerwę, by nie popaść w przesadę, dewocję; lub też jego wiara jest zbyt słaba, by unieść ciężar wymogów jej stawianych. Te dwie postawy, jak twierdzi Zatwardnicki, nie są powodem do wychodzenia z Kościoła, ale zachętą do tego, by uczynić głębszą refleksję nad nią.

Inna możliwość podana jest w sposób nieco zakamuflowany. Mowa tu o wierze nie tyle w Boga, co – boga. Nie jest to Bóg chrześcijański, lecz swoisty twór wierzącego, „spolegliwy koleś” (s. 167), który nie stawia żadnych wymagań swojemu wyznawcy. Wierzący w takiego boga również jest przez autora zaproszony do tego, by z Kościoła nie wychodził. Pozwoli mu to na podjęcie wysiłku sprawdzenia, czy Bóg chrześcijański nie ma więcej argumentów, „czy coś ważnego nie przemawia jednak za Nim” (s. 167). Konkluzja brzmi następująco: omawiana formuła jest wezwaniem do tego, by pogłębić własną wiarę tak, aby zaczęła ona oddziaływać na życie. Może się bowiem okazać, że u podstaw tejże formuły tli się „letniość ducha czy lenistwo intelektu” (s. 168), które warto poddać weryfikacji. Chodzi o to, by otworzyć drzwi i wpuścić „trochę świeżego powietrza, a potem popraktikować wiarę, potraktowawszy wcześniej Boga poważnie” (s. 168).

Zauważmy. Wniosek brzmi, owszem, wiarygodnie, chociaż trochę powierzchownie. Jest związany z przyjętym punktem widzenia, strategią piszącego. Wolno zapytać, czy niewierzący został tu dobrze ujęty, czy nie pominięto jakiegoś istotnego wątku. Formuła, sama w sobie dość skomplikowana, łącząca dwa wymiary (wiarę i praktykę życia), jest, jak mi się wydaje, opisem dwóch możliwych postaw ludzkich: duchowego lenistwa bądź zranionego ducha. Pierwszą autor dostrzega, drugą pomija. Odnoszę wrażenie, że ta druga zdarza się jeśli nie częściej, to przynajmniej tak samo często. Mamy z nią do czynienia wówczas, kiedy ktoś przestaje praktykować na skutek odczutego bólu, złego

potraktowania przez wierzącego. Pojawia się wtedy postawa przeżywania wiary w sobie (nie na swój sposób, ale w sobie!). Nie jestem przekonany, czy zawsze świadczy ona o słabości lub letniości ducha. Trzeba zadać pytanie, czy ktoś taki jest naprawdę niewierzący. Jednak skoro porzuca praktyki, to w kluczu toczonoego pojedynku odpowiedź brzmi: „tak”. Z kimś takim niestety znów nie porozumiemy się za pomocą szpady.

Rozdział zatytułowany *Religia* wydaje się niestety najsłabszy. Autor jakby traci impet i ogranicza się do stwierdzeń oczywistych i trochę banalnych. Wybrany tutaj fragment *Wszystkie religie mówią o tym samym* rozpoczyna się od przywołania dziecięcej zabawy, w której wraz z recytacją wierszyka utworzony przez dzieci krąg rozrywa się. Stąd konstatacja, iż każde „dmuchanie balonika ponad miarę powoduje, że pęka, co zabawę kończy” (s. 271). Rzecz jasna, przykład ten pozwala autorowi na przeprowadzenie myśli. Samo sformułowanie mówiące o równości religii jest problematyczne. Rzeczywiście, wystarczy pobieżnie przyrzeć się temu, co one faktycznie głoszą, by zobaczyć, że „nawet jeśli mówią o tym samym – o stosunku człowieka i Boga – nie znaczy to, że mówią o Tym samym” (s. 272). Chryścijaństwo twierdzi jednoznacznie, iż jego wyjątkowość polega na faktycznym wcieleniu się Boga i jedynym pośrednictwem Syna. By nie wpaść w pułapkę eklezjocentryzmu (poza Kościołem, jako kontynuatorem misji Syna, nie ma zbawienia), proponowany jest chrystocentryzm (możliwe jest zbawienie w ramach innej religii, ale jest ono pochodne od Syna). „Tak nadmuchany balonik wydaje się mieć optymalne rozmiary, by można było poważnie rozmawiać z innymi religiami, a jednocześnie nie bawić się chrześcijaństwem” (s. 273). Chrystocentryzm próbuje się czasem zastąpić teocentryzmem. Wedle tej teorii, jak zauważa Zatwardnicki, chrześcijaństwo staje się objawieniem „równoległym” do innych sposobów ujawniania się Boga. Przestroga, jaka wieńczy refleksję, sprowadza się do konstatacji, iż „za mocno nadmuchany balon musi pęknąć” (s. 276).

Dla całości recenzji istotna jest ostatnia część książki, w której autor zastanawia się: *Jak zostać ateistą?* Jak wspomniałem, znajdujemy tutaj próbę wyjaśnienia celu napisania książki. Widzimy znaną już figurę niewierzącego (ateisty), z którym toczymy pojedynek. Jego życie nie biegnie „miło i beztrudnie, nawet jeśli niewierzący na tyle uśpił swoje sumienie jakąś modernistyczną kołysanką, że pewnych pytań sobie nie zadaje” (s. 331). Staje on wobec wyzwania, które zmusza go do zajęcia stanowiska. „Nie wystarczy wzruszyć ramionami i żyć, jakby Go nie było. O nie, więcej polotu, panie i panowie” (s. 331).

Manifest ten ma skłonić ateistę do myślenia. Wniosek jest dość oczywisty. Autor nie twierdzi, że niewierzący nie myśli, ale przychodzi mu to z pewnym trudem. Nie ma innej możliwości, skoro „uśpił swoje sumienie”. Jednak ten, kto

zdecyduje się na wysiłek myślenia, musi pamiętać, że „nie jest łatwo być ateistą myślącym” (s. 336).

I w tym miejscu zaskakujący fragment. Autor pisze: „Może, co brzmi nieco paradoksalnie, nawet bliżej ateście myślącemu do myślącego wierzącego” (s. 336). Ten, kto wybrał ateizm, dokonał trudniejszego wyboru niż ten, kto z pozycji wierzącego „przygotowuje się do ostatecznego rozwiązania kwestii Boga” (s. 337). Okazuje się, że zamiarem Zatwardnickiego było pokazanie, że niewierzący to nie bezmyślne stworzenie, które gdzieś zagubiło zdolność czucia, przeżywania, myślenia. Za jego wyborem kryje się, a raczej może się kryć, jakieś wewnętrzne zmaganie, wysiłek rozumowania. Czy jednak rzeczywiście jest ono „trudniejszym wyborem”? Doprawdy niełatwo znaleźć tu kryterium weryfikacji.

Lektura książki nie należy do łatwych. Jest ona chwilami irytująca poprzez nadmierne uproszczenia i ustawianie niewierzącego w pozycji chłopca do bicia. Czasem zadziwiająca w doborze argumentacji i sposobach przekonywania. Wzbudza autentyczne uznanie dla swobody myślenia autora, zestawiania skojarzeń i symboli, artykułowania istotnych treści. Nie do końca jednak wiadomo, do kogo jest skierowana. Do zdeklarowanych wierzących, którzy nie mają żadnych wątpliwości?; do przeżywających swoją wiarę jako nieustanny trud obcowania z Tajemnicą?; do wątpiących, którzy zagubili się w swoich doświadczeniach?; do zauroczonych możliwościami rozumu, który kwestionuje oczywistości?; do cynicznych pseudomyślicieli czerpiących satysfakcję z prób zdyskredytowania religii? Powraca zarzut dotyczący przyjętej koncepcji. Metafora walki, skrzyżowanych szpad i pojedynkowania się nie stwarza atmosfery do dyskusji. Nie znaczy to, że *Katolicki pomocnik towarzyski* nie zasługuje na to, by go przeczytać. Jeśli sprowokuje niedookreślonego przez autora ateistę do przemyślenia istotnych kwestii związanych z sensem świata, człowieka, życia, a wierzącego do refleksji nad treściami wyznawanej wiary, to można stwierdzić, że spełnił swoją funkcję.

Tylko... tytułu żal i tych skrzyżowanych szpad...